



## Leszek Wojciechowski

część I z II

Sygnatura notacji: N1226

Data urodzenia: 18.05.1928 r.

Data nagrania: 19.02.2018 r.

Miejsce nagrania: dom świadka, Poznań, Polska

Prowadząca/y rozmowę: Tomasz Sikorski

Czas nagrania: Część I: 45 min, część II: 60 min

Format nagrania: video

Język nagrania: polski



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Leszek Wojciechowski:** Moje nazwisko Leszek Wojciechowski. Urodziłem się w Poznaniu, 18 maja 1928 roku. Moi rodzice do Poznania przyjechali po 1920 roku, kiedy powstała Polska, bo przedtem ojciec pracował jako kolejarz i na terenie Niemiec, Prus, jak również służył w wojsku niemieckim. Po 1920 roku mój ojciec dostał polecenie wyjazdu do Gdańska, do Wolnego Miasta Gdańska, który oczywiście w większości był zamieszkały przez Niemców, wrogo nastawionych do Polski. I ojciec dostał polecenie zorganizowania w ogóle służb kolejowych na terenie miasta Gdańska i jak również tranzyt przez teren Wolnego Miasta Gdańska. Następnie po wykonaniu swojego zadania wrócił do dyrekcji w Poznaniu i został naczelnikiem stacji w Poznaniu. I tak to trwało do 1939 roku. W 1939 roku, jak się zaczęła wojna, to myśmy już wcześniej ewakuowali się do Łęczycy, gdzie rzekomo miało być spokojnie i tak dalej, ale okazuje się, że tam wtedy były najgorsze walki nad Bzurą, pomiędzy Polakami i Niemcami. I następnie, jak żeśmy wrócili już pod koniec września do Poznania, oczywiście nasze mieszkanie na dworcu było zupełnie splądrowane. I trzeba się było jakoś urządzać, ale to długo nie trwało, ponieważ, ja już skracam, ponieważ w 1940... w lutym 1940 roku myśmy zostali wysiedleni do... Właściwie za wcześniej mówię „wysiedleni”. Zostaliśmy ulokowani w obozie koncentracyjnym na Główniej w Poznaniu. Stamtąd odtransportowano nas po dwóch tygodniach do Mielca. I po prostu wyrzucono na ulicę. Mieszkaliśmy na początku w szkole, która zresztą nie była opalana. Śniegi były do pasa. I bardzo ciężkośmy to przeżyli. Tym bardziej, że ojciec chorował na serce. Nie mieliśmy utrzymania, ojciec nie pracował. Wreszcie po czasie dowiedzieli się, że obowiązkiem jest zgłosić się do Arbeitsamtu i w związku z tym, jak się ojciec zgłosił do Arbeitsamtu to doszło do tego, że go skierowali do pracy na kolei w Mielcu. W Mielcu tam pracował niecały rok i w charakterze dyspozytora ruchu. Ponieważ znał język niemiecki, często wykorzystywano go jako do ubersetzera, czyli tłumacza. I podczas kontroli i rewizji, które były robione przez odpowiednich urzędników kolejowych

na terenie dworca, doszło do rozmowy między tym inspektorem i ojcem, który powiedział: „Panie, co pan tu robi? Skąd pan zna ten język niemiecki?”, więc ojciec mu powiedział, mówi: „To co pan tu robi w tym Mielcu? Gdzie pan mieszka?”. „Proszę pana, ja już to załatwię i zostanie pan przeniesiony. Prawdopodobnie załatwimy pracę w Lublinie. W dyrekcji kolejowej w Lublinie”. Ale mój ojciec mówi: „Chwileczkę, ja nie jestem od tego, żeby siedzieć w dyrekcji, ja jestem od ruchu kolejowego, od eksploatacji”. I wtedy, po miesiącu, ojciec otrzymał już delegację i wyjechał, ale już zaczęły przychodzić pieniądze, żeśmy mieli co jeść i nie trzeba było grzebać po śmietnikach. I po pewnym czasie ojciec przyjechał, niezbyt zachwycony, mówi: „Nie wiem, co robić, czy dalej chorować i tak dalej, bo nie podoba mi się ta praca, bo tak stoję, jakbym stał na środku barykady. Z jednej strony Polacy, z drugiej strony Niemcy. Niemcy chcą to, co nie chcą Polacy, czyli na tym stanowisku ja nie widzę siebie. Ja już rozmawiałem z polskimi pracownikami, z Polakiem, który był zawiadowcą w Lublinie i powiedział, że tutaj już działa, nazwijmy to Ruch Oporu”. Kiedyś tak się nie mówiło, tylko mówiło się, że jesteśmy w kontakcie z leśnymi. I oczywiście to przełamanie tego zaufania to nie trwało krótko. To trwało co najmniej dwa tygodnie, żeby oni nie byli pewni, czy ojciec nie jest jakimś prowokatorem i odwrotnie. Ojciec nie wiedział. I wtedy ojciec zapoznał jakiegoś lekarza, który nazywał się Woźniewski i był wysiedlony z Bydgoszczy. I ten pan doktor Woźniewski był kolejowym lekarzem, do którego chodził ojciec. I on nam mówił, wpierw powiedział ojcu, że może mu wystawić zwolnienie, ale to zwolnienie nie może być długo, bo wtedy wysyłają na komisję. Czyli co zrobić, żeby nie pracować dla Niemców, a równocześnie zachować jakieś warunki, w których można żyć i utrzymać rodzinę. I wtedy dowiedział się ojciec, że podobno jest taka stacyjka, gdzie nie ma żadnego ruchu, dwa pociągi jadą przez cały dzień, osobowe, parę towarowych, rampa kolejowa, załadunek jakichś buraków z majątku czy do cukrowni i ziemniaki, zboże. Mówi: „To pan zawsze tyle uskrobie, że nie będzie obawy o utrzymanie”. I ojciec poszedł do tej Izbicy. Żeśmy tę Izbicę zobaczyli, to po tych wszystkich przejściach w tym Mielcu, to dla mnie i dla mojej siostry, to był raj. To był raj, bo była swoboda, w szkole nic wielkiego nie żądano, bo ta szkoła była i tak pod nadzorem niemieckim. Z kolei była przyroda: łąki, króliki, kury, gęsi. Można było samemu sobie utrzymywać, nikt się nie wtrącał, spokój, cisza. Tak, ale to wtedy chodziliśmy do miasta, bo tam była piekarnia. Na początku przecieży kartki były, chleb na kartki, był rzeźnik i wtedy ja chodziłem do rzeźnika, patrzyłem, a po prawej stronie był też żydowski sklep rzeźniczy. I zauważyłem plakaty antyżydowskie, wprost obrzydliwe, gdzie Żyd w maszynkę do mięsa wkręca szczura, trzymając go za ogon. Po prostu po to, żeby zniechęcić do kupowania mięsa tam w tym sklepie, ale wtedy jeszcze były sklepy żydowskie, chodziłem do sklepu żydowskiego, żelaznego, gdzie szukałem do butów tych blaszek takich czy ćwieków. Wszystko można było u niego dostać. Był normalny sklep, tak jak było to przed wojną. Na terenie miasta wszystko było otwarte. Żydzi mogli wchodzić, wychodzić. Nikt nikogo nie zatrzymywał. W tym czasie wiedziałem, że jest trzech policjantów, ponieważ chodziłem do szkoły z córką komendanta policji, który został wysiedlony tak samo jak my z terenów Warthegau, a konkretnie z Kalisza. I do tego miał dwóch posterunkowych. Wszystko było otwarte. Jak się w dzień targowy poszło na rynek, to można było zobaczyć Żydówki, które kupowały jajka, gołębie czy tam kury, czy jakieś inne artykuły. Żydzi często kupowali, ale świeże, żywe, ponieważ oni uznawali, że mięso musi być koszerne, więc mieli swojego takiego, nie wiem, w tym czasie ja przynajmniej tak słyszałem, że to mówi rzezak. To był taki, który na przykład podcinał kurę za jednym ucięciem głowy i wtedy to było koszerne. Oczywiście przedtem obejrzał, czy ta kura jest zdrowa, czy nie jest chora, czyli w pewnym sensie spełniał bardzo pożyteczną rolę. Ale jak był dzień targowy, chyba w czwartek, to było jeszcze targowisko otwarte. Targowisko było za torem kolejowym, po prawej stronie zaraz w kierunku jak idzie droga do Tarnogóry. Wtedy to rzeczywiście był ruch niesamowity. Dlaczego? Dlatego, że chłopci przyjeżdżali, stawiali swoje konie, wyprzęgali, konie się

pastry tam na łączce, bo obok była łąka. Ja tam chodziłem, zaraz niedaleko szkoła była. Podobno tam był dyrektor, zresztą mam chyba na tym, Stein się nazywał. Mówili, że to jest chyba folksdojcz, ale on i tak nic tam nie wpływał, bo nie zajmował się wcale tą szkołą. Jego interesowało zbieranie ziół, a dla nas w tym czasie nikt sobie nie zdawał z tego sprawy. Więc Niemcy wydawali takie czasopismo, które się nazywało Stern. To potem, jakaś tam... wydawany był w Krakowie. Potem po wojnie słyszałem, że sądzili tych redaktorów, że oni prowadzili politykę antypolską. Ale wracając do tego targowiska. Na tym targowisku, tu już był handel, bym powiedział dużo większy, bo to nie tylko był handel z Żydami, ale to był handel, gdzie Polacy, którzy mieszkali obok, również z tego wielkiego targowiska korzystali i wtedy rzeczywiście można było kupić i od kozy, od baranów, wieprze, widać było ludzi, co w worku mają i kwiczące wieprzki. Jednym słowem był wielki ruch gospodarczy. Mało tego, przecież ja sobie nie wyobrażam, żeby tam leżała jakaś puszka porzucona przez kogoś. Na pewno była zabrana od razu. Żydzi chodzili tacy, którzy zbierali szmaty, przychodzili, pytali się, czy są szmaty. Nieraz handlowali, gwoździe mieli jakieś na zamianę. Jednym słowem to miasta żyło jeszcze, pomimo, że to już przeszło i okupację sowiecką, i okupację niemiecką. Niemcy jeszcze prawdopodobnie nie mieli sprecyzowanych planów, co do tego, do czego ma służyć Izbica. W tym czasie zaczęły przychodzić transporty. I ciekawe, taki transport na przykład wymienię z Holandii. Rano, wiosna, piękne słońce, pogoda, ojciec przyszedł na śniadanie i mówi: „Przyjechał transport w nocy z Lublina”. Ja wyszedłem, patrzę, same wagony pierwszej i drugiej klasy z tymi zasłonami, z firanami, tak jak dzisiaj w wagonach, a w oknach siedzą sobie jakieś Żydówki. Jedna założyła jakieś futro piękne. Widać było w futrze i sobie obserwują, i patrzą, gdzie oni tu przyjechali, co oni tu mają, jak, co będzie dalej. Ale od razu zauważyłem, że jest eskorta tego pociągu. Pomimo, że Żydzi mogą sobie wychodzić bo ubicacja była kawałeczek dalej, na terenie dworca, więc ja patrzę, a ci Żydzi swobodnie wychodzą do tej ubicacji, wracają, wodę wzięli z pompy na terenie dworca, a ci... To nie była policja, tylko to była żandarmeria, która ich przywiozła. I w trakcie ojciec jeszcze raz przyszedł z dworca do nas i mówi: „Trzymajcie się z daleka, bo zaszedł wypadek, że już poszukują kolejarza, który im w Lublinie powiedział, że oni wszyscy jadą do gazu, do obozu śmierci. Że mają uciekać, bo podobno pociąg się zatrzymał w Lublinie i w Lublinie oni sobie wyszli, każdy z nich miał i dolary, i marki, w bród. To byli bogaci ludzie”. I oni przyjechali, i poszli sobie do restauracji w Lublinie. I wtedy jeden z tych kolejarzy mówi: „Czy wy wiecie? Uciekajcie, uciekajcie czym prędzej”. To co on zrobił, ten Żyd... ci Żydzi co zrobili? Poszli do komendanta pociągu i powiedzieli, że przyszedł jakiś kolejarz, który, wskazali go, więc on zaczął uciekać, już nie przyszedł do pociągu i musiał się ukrywać. Ponieważ Żydzi poszli naskarżyć, że takie plotki tutaj Polacy szerzą. Więc mówi: „Trzymajmy się od tego z daleka. Nie zbliżajcie się tam”. Ale ja patrzę, żeby nie być widziany, to nieraz... Ja miałem króliki w tym czasie. To miałem worek i sierp, i chodziłem sobie zbierać trawę i mlecze, więc z tym workiem chodzę po drugiej stronie i patrzę, co się dzieje. A oni po niemiecku: „Dzień dobry, dzień dobry”, do tych „Guten tag” i tak dalej. I do tych Niemców. Ci Niemcy odpowiadają. W mundurach oczywiście ci Niemcy. I w takiej komitywie oni ich w ogóle nie pilnują, w ogóle. Oni sobie poszli kawę zrobić, więc stosunek był idealny między nimi przez cały czas. Ale tak za godzinę przyjeżdżają samochody i przyjeżdża Engels, i ten Klemm na motocyklach, bo oni jeździli na motocyklach. A przedtem przyjechał oddział, który mógł mieć około 20 Ukraińców. To z SS-Galizien. I ci Ukraińcy stanęli sobie w rzędzie, stoją i czekają. W międzyczasie... To jest to, co tu obserwowałem wtedy z tamtej strony tego rowu. Wchodzi, nagle patrzę, jakiś starszy pan z teczką taką skórzaną, czarną teczką, przychodzi, kłania się Engelsowi i w międzyczasie rozmawia po niemiecku z tym komendantem, który przyjechał z tej żandarmerii i otwiera tę teczkę i wyjmuje jakiś dokument, i podaje ten dokument temu komendantowi. Prawdopodobnie ten dokument to była lista tych wszystkich Żydów i podaje, i podchodzi. Ten tam coś kwituje, ten bierze ten proto-

kół, podaje temu Engelsowi, salutują sobie i odchodzą. A teraz patrzę, ten wyjmuję jeszcze raz tę listę, którą on miał, podchodzi z takim ukłonem, kłania się i podaje temu Engelsowi tę kartkę, prawdopodobnie tę listę. I w tym momencie Engels tak stoi, patrzy na niego, nie mówi nic. Wyciąga szpicrutę, taką zrobioną ze skóry, w środku z łańcuchem, bo znałem, widziałem już później takie, i pierwsze trzask, z drugiej strony, z trzeciej, a ten komendant nie wytrzymał. Ten komendant tej policji, który przed chwilą mu zdał tę całą listę. Po prostu chwycił się za głowę i stanął. A ci wszyscy strażnicy, którzy przedtem tak stali z boku i sobie opowiadali, to wszyscy patrzyli, wie pan, jakby film się jakiś tragiczny zaczął. Byli przerażeni sami ci Niemcy, którzy przyjechali i eskortowali tych Żydów. I teraz, proszę pana, w międzyczasie przyjechało może około 20 policjantów żydowskich, których bardzo łatwo rozróżnić, bo oni mieli sztruksowe granatowe mundury, takie eleganckie, taki sztruks. I nagle dostali rozkaz, i wskakują do tych wagonów, a tam wszyscy przerażeni, patrzą, co się dzieje. I nagle wlatują ci i zaczynają wypychać wszystkich na zewnątrz. Jedni wskoczyli, okna pootwierali, wyrzucają wszystkie pakunki na zewnątrz. Potem próbują je układać drudzy bliżej na odpowiednią kupę. W międzyczasie, proszę pana, zaczynają się krzyki, jęki, płacze, lamenty, bo okazuje się, że ci Żydzi wyszkoleni przez Niemców, ta policja żydowska po prostu się nie patyczkuje. Widzą, że jest jakiś kulawy, to mu kopniaka i już jest na zewnątrz. A że padł, to już nikogo nie obchodzi. I wtedy, proszę pana, pobierali, powyrzucali tych wszystkich z tych wagonów, tych Żydów, a ci Niemcy tak stali, ci strażnicy niektórzy machali nawet ręką i odeszli, poszli do poczekalni. Nie chcieli przy tym uczestniczyć ani patrzeć. A teraz się zaczęła tragedia, bo proszę pana, każdy, najczęściej, jeżeli miał jakiś pakunek, to oprócz tego na szyi miał torbę czy torebkę jakąś, w której miał jakieś dokumenty czy cokolwiek, a tu nagle wyskakuje jakaś kobieta, zdzierając jej z szyi torebkę i rzucając. Ona krzyczy, wrzask. Dostaje pałką po głowie, bo Żydzi mieli jedynie pałki. I powoli zrobili z tego kolumnę. Kolumna odeszła, zostawili tych Żydów, którzy rozładowywali, tę policję zostawili, którzy częściowo i pilnowali tego bagażu. W międzyczasie z Krasnegostawu przyszły samochody, które od razu pozabierały to wszystko, co pozostało. A ich po prostu wpuszczono do getta. Na terenie getta w tym czasie był polski... Nie polski, ten Judnerat polski. Znaczący mówię od polskich Żydów. I oni tam poza ewidencją, którą prowadzili dla Niemców i pod ich życzenie, to wydawali przepustki, tam było wielkie łapownictwo, bo żeby wyjść na przykład na zewnątrz, to trzeba było mieć przepustkę. Oczywiście trzeba było mieć jakąś pracę. Najlepiej jakby to była w jakimś urzędzie, w jakimś powiedzmy zakładzie, który tam drogi porządkował, miejskim, czyli wtedy wybierano, to ci Żydzi pod tym Judneratem to tam było nie dziesiątki, a setki ludzi, którzy by chcieli wyjść do pracy. I co dalej? Pociąg odjechał. Przyszły samochody, pozabierali. Mało tego, ci Żydzi, którzy pilnowali, jeszcze próbowali handlować, namawiali ludzi wokół, którzy tam się znaleźli, Polaków, czy nie chcą czegoś, żeby zdobyć pieniądze jeszcze dla siebie. Nawet takie sytuacje bywały. Potem to getto zmieniło charakter. Ci Żydzi, którzy przyszli z Holandii czy z Czechosłowacji, oni czuli pewien dystans w stosunku do polskich Żydów. Na pewno się nie lubili. Jak robiono listy, to zawsze szły to kosztem tych świeżo przybyłych Czechów czy Holendrów. I wtedy ci, ten dysonans narastał pomiędzy tymi Żydami, i oni w pewnym sensie nawet ta policja żydowska podlegała Judneratowi również. Bo jak Judnerat wysłał, że należy przyprowadzić tylu i tylu tam ludzi na jakąś zbiórkę, albo że trzeba... robią, nie wiem, jak to nazwać, zbiórkę złotości, bo ma być, jak nie będzie na przykład dwa kilo złota uzbierane z obrączek, to rozstrzelają tam takich czy innych, więc tu po prostu w tym wszystkim dopomagał Judnerat. I wtedy Czesi i Holendrzy, którzy byli bardziej, bym powiedział przedsiębiorczy, nie powiem inaczej, ale bardziej nie tacy jak ci drudzy. I oni utworzyli wtedy swój własny Judnerat, który dogadywał się z Niemcami, ale to była też wredna niemiecka polityka, która wiedziała jedno, że ci Żydzi mają duże konta w Szwajcarii, w Ameryce czy w Londynie i w związku z tym nawet były próby, żeby pisać listy do tych banków, pobierać pieniądze i za te pie-

niądze w Szwajcarii na przykład kupić maszyny do szycia. Tak im powiedziano. Że będą mundury szyc i różne inne, i buty, i tak dalej. I niektórzy się dali na to nabrać, że ściągali te pieniądze, łudząc się, że przetrwają. Ale do tego nie doszło. Potem zaczęły się, jak te transporty się nasiliły, to wtedy nie było miejsca, gdzie ich ulokować, tych Żydów. Więc lokowano ich wszędzie. Na strychach tych rozlatujących się chałup, po prawej stronie Izbicy, jak się jedzie w kierunku Krasnegostawu, ta cała prawa strona pod tą górą, to tam były takie lepianki, to naprawdę to była tragedia. Myśmy w tym czasie, jak to getto zmieniło swój charakter już, wtedy jeszcze opłotowano... Aha, może jeszcze powiem, jak się przechodziło przez to, nazwijmy to jeszcze otwarte getto, to główna droga była wolna i można było iść na rynek i jechać do Krasnegostawu. Przejazd od strony Zamościa. Czyli... Żeby nie utrudniali, bo Żydzi byli, getto było i po lewej, i po prawej stronie drogi, więc tych Żydów postawili, na każdym skrzyżowaniu stał policjant żydowski z pałką. Jeżeli ktoś chciał przechodzić przez tę główną drogę, to po pierwsze ulica musiała być pusta i dopiero on wyrażał zgodę, żeby przejść na drugą stronę, a jeżeli ktoś chciał przejść, to dostał tak pałką, skopali go, że odechciało się mu. Czyli oni sterowali ruchem z lewej strony na prawą i odwrotnie. W tym czasie zaczęła się robić jesień, trochę zimno. Ludzie nie mieli, co jeść. Więc myśmy na przykład po pewnym czasie już przestali brać chleb na kartki, bo ten chleb po pierwsze to był taki okupacyjny, na pół z jęczmienia i pleśniał szybko, ale kartki były niewykorzystane, więc ja od mamy dostałem zgodę, że mogę iść pobrać ten chleb, już nie pamiętam, że na miesiąc chybaśmy mieli, nie wiem, trzy albo cztery takie duże, okrągłe chleby. Pobierałem i my z chłopakami zanosili na teren getta ten chleb. Wtedy to można było iść tą główną drogą jeszcze i na przykład w jednym miejscu, tam, gdzie była restauracja, to był w ubikacji, można było rozsunąć deski i nad ubikacją przejść na drugą stronę do getta, bo ustęp był na granicy getta. Tam była restauracja. I tamtędyśmy przechodzili, ale po pewnym czasie ta restauracja zmieniła swój charakter. Ponieważ niedaleko od tej restauracji, dwa czy trzy domy dalej był dom tego Schultza, który został burmistrzem, a przedtem był zwykłym zegarmistrzem w Izbicy. I on został burmistrzem Izbicy, a on zrobił się albo był z pochodzenia Niemcem, więc został folksdojczem i ponieważ on znał osobiście tych wszystkich Żydów, bo mieszkał tam już od lat, więc był doskonałym informatorem o wszystkim, co się dzieje. I skumał się właśnie z tym Kurtem Engelsem, i z tym drugim, jak on tam się nazywał. Klemm. Nie wiem, imię mi wyleciało w tej chwili z głowy. Oni... Ludwik. Już mi się przypomniało. Ludwik Klemm. I oni coraz częściej przychodzili do tej restauracji i tam sobie urządzali popijawkę. Myśmy chodzili też tam, dopóki getto jeszcze było otwarte, po lemoniadę dzieciaki, bo można było kupić już tam, nie wiem, za 20 groszy czy za ile, lemoniadę. I stąd nawet pamiętam, że na samym początku, jeszcze jak myśmy byli, wtedy, kiedy jeszcze nie było tych transportów, to pamiętam, że nawet było w tej restauracji na zapleczu wesele żydowskie. Prawdopodobnie jakiś bogaty Żyd wydawał za mąż córkę i myśmy poszli tam jako dzieciaki obserwować, jak wygląda to wesele, jak tańczą. Ale to było na samym początku. Potem jak już wspominałem, ta restauracja zmieniła swój charakter i tam przeważnie Niemcy sobie urządzali piwiarnię, ale wtedy... I chodził tam... Również chodzili ci polscy policjanci. Tam była pewnie wymiana różnych poleceń, opowiadali sobie pewnie o tych sprawach, które prowadzili. Dostyc, że ten restaurator nadstawiał uszy i prawdopodobnie miał kontakty z partyzantką. I pewne przecieki z tych opowiadań, dotyczące przyszłych akcji i jakichś określonych, powiedzmy bliższych danych, to zaczęły przeciekać. I stwierdzili, że coś jest nie tak, i go zaarrestowali. Myśmy mieli kontakt przedtem z jego żoną, z jego dziećmi. Jak ich ojca zaarrestowali, to ta żona poszła do tego Engelsa go prosić, o co chodzi, a on powiedział: „Wyjaśnimy pewne sprawy i wróci do domu”. A ta córka tego restauratora i synek mniejszy to wtedy przez dwa czy trzy dni u nas byli w domu. Ale po paru dniach żona przyszła z płaczem, powiedziała, że mąż się powiesił w celi. I na tym się skończyło.